

Listy Jezusy

Niezwykłe spotkanie z Jezusą
(Jezusem)

Listy Jezusy

Niezwykłe spotkanie z Jezusą
(Jezusem)

Jayem

Przekład
Marek Konieczniak

Wydawnictwo Shanti Christo
Sosnowiec 2018

Tytuł oryginału:
The Jeshua Letters

Redakcja:
Maria Wereżyńska
Rafał Wereżyński

Korekta
Maria Wereżyńska

Skład i łamanie:
Teresa Ojdana, www.pagegraph.pl

Druk:
Totem, Inowrocław

© 1991 Jayem

© for the Polish edition by Wydawnictwo Shanti Christo
e-mail: wydawnictwo@shantichristo.pl
www.shantichristo.pl

ISBN 978-83-953094-0-3

*Dedykowane Jednemu,
którym wszyscy jesteśmy*

Spis treści

Podziękowania	9
Do czytelnika	11
Przedmowa Alana Cohena	13
Wstęp	17
Rozdział pierwszy	21
Rozdział drugi	51
Rozdział trzeci	85
Rozdział czwarty	119
Rozdział piąty	161
Rozdział szósty	183
Rozdział siódmy	209
Rozdział ósmy	235
Rozdział dziewiąty	251
Rozdział dziesiąty	259
Rozdział jedenasty	269
Rozdział dwunasty	287
Epilog	299

Podziękowania

Z radością chciałbym wyrazić głęboką wdzięczność wszystkim, którzy swą pomocą sprawili, iż czwarte zaktualizowane wydanie *Listów Jezusy* może trafić w ręce czytelników.

Po pierwsze, Alanowi Cohenowi, pisarzowi i nauczycielowi, który rozpoznał znaczenie tej książki i zarówno zachęcał mnie do jej opublikowania, jak i zaoferował napisanie do niej przedmowy, tak jak to proroczo przewidział Jezua.

Świętej pamięci Joan Reddish, której finansowe wsparcie było cudem umożliwiającym wydanie pierwszej edycji książki.

Sandy Button, która porzuciła intratną pracę w korporacji, by trafić tutaj, na Bali, i która począwszy od roku 2006, jest nieustrudzoną pomocą w administracyjnych pracach obejmujących wszelkie aspekty mojej działalności, od zarządzania aszramem Alam Cinta w Ubud po, praktycznie rzecz biorąc, wszystkie dzieła, które zrodziły się w efekcie rozwoju ścieżki, jaką jest Droga Mistrzostwa. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak to wszystko mogłoby się wydarzyć bez jej udziału.

Wszystkim licznym uczniom z całego świata, którzy wraz ze mną wypłynęli na głębię alchemii prawdziwej duchowej przemiany; wasze rozkwitające dusze są dla mnie dowodem mocy Miłości.

W końcu, kieruję swą wdzięczność ku memu przyjacielowi, Jezule, synowi Józefa, niewidzialnemu, jednak zawsze obecnemu,

którego miłość uzdrowiła me serce i który dotrzymał swej odwiecznej obietnicy, i przyprowadził mnie do Domu, kierując mnie w głąb prawdziwego zrozumienia dynamiki Oddzielenia i Drogi oświecenia ORAZ ucząc mnie, jak mam przekazywać innym to, co rozumiałem, poczynając od skromnych początków wątpliwego, opornego, przestraszonego i poranionego trzydziestosiedmioletniego mężczyzny, po czas obecny, osoby w wieku lat sześćdziesięciu, która nie była w stanie w ogóle sobie wyobrazić, gdzie Jezua ją zaprowadzi, a która czuje się obecnie spełniona, trwa w pokoju i ma ogromną frajdę pomagając innym w ich uzdrowieniu i prawdziwym przebudzeniu się do niezwykłego, choć zwyczajnego życia Umysłu Chrystusa. Miłość i kierownictwo Jezusy jest inspiracją dla mej Pracy i życia. Nigdy nie będę w stanie wystarczająco Mu podziękować owocami mego działania.

Do czytelnika

Drogi czytelniku, zauważysz, że w tej książce nazywam siebie „Marc”. Przez parę ostatnich lat nazywałem się „Jon Marc”. Moi przyjaciele nazywają mnie „Jayem” i jest to imię, które wolę, ze względu na jego prostotę.

Skąd ta zmiana?

Jako dziecko i przez większość mego dorosłego życia nosiłem imię „Marc”. Jednakże zawsze – nawet w bardzo młodym wieku – odczuwałem, że moje imię było jakby niewłaściwe i że powinienem się nazywać „Jon”. Ale proszę, tylko bez „h” w pisowni, nie „John”!

W połowie lat 90, na skutek dogłębnego badania tego, co powszechnie nazywa się „cieniem”, które to badanie włączało moją intensywną pracę z uzdrawianiem okresu prenatalnego i narodzin – dodałem do swego imienia „Jon”. Skutek był natychmiastowy: mocna, głęboka wewnętrzna zmiana; przesunięcie w głębsze poczucie pełni.

Kiedy powiadomiłem o tym moją matkę, powiedziała mi – po chwili totalnego zdumienia – że imiona wybrane pierwotnie dla mnie i dla mego brata bliźniaka brzmiały „Jon” i „Marc”.

Mój brat zmarł trzy dni zanim przez wymuszone okolicznościami cesarskie cięcie urodziłem się ja. W całym tym zamieszaniu nasze imiona zostały zamienione; mnie dano na imię „Marc”, a memu bratu – „Martin Jon”.

Wydaje się, że już od czasu życia w łonie matki wiedziałem, jak powinienem się nazywać!

Jednakże zawsze wydawało mi się właściwe, by w książce pozostawić imię „Marc”, zwłaszcza, że żadne ze słów wypowiedzianych tutaj przez Jezusę nie było ani przeredagowywane, ani w jakikolwiek sposób przeze mnie zmieniane. To, co czytasz, czytelniku, brzmi dokładnie tak, jak On to do mnie wówczas powiedział.

Chciałem również powiedzieć, zwłaszcza ze względu na czytelników pierwszego wydania, że obecne wydanie zostało poszerzone i ujawnia dodatkowe doświadczenia z czasu tych pierwszych paru lat z Jezusą. Pierwotnie publikacja dużej ilości materiału została wstrzymana na prośbę Jezusy. To, co teraz zostało dodane, znalazło się tutaj również za Jego radą. Mogę tylko założyć, że przyszedł na to właściwy czas.

Jayem

Przedmowa Alana Cohena

Czy wierzysz, że mógłby do ciebie przemówić Bóg? Zdziwiałam mnie, że wszystkie nasze religie opieramy na przekazach ludzi, z którymi rozmawiał Bóg, ale kiedy jeden ze współczesnych nam ludzi ogłasza, że słowo Ducha zostało wypisane w jego sercu, jesteśmy skłonni przepytwać go z jego kwalifikacji i referencji lub zastanawiamy się, czy nie jest on przypadkiem ofiarą narkotykowych nadużyć lat 60. Jezus powiedział: „Żaden prorok nie jest mile widziany w swojej Ojczyźnie” i jestem przekonany, że prorocy rzadko są uznawani w swoim czasie. Tak jak wielcy artyści i muzycy, większość przekazicieli Bożego Słowa musi czekać aż do własnej śmierci, aby zostać docenionym. Jakże gotowi jesteśmy, by akceptować prawdę, ale tylko z bezpiecznej odległości! Tak jak Święty Augustyn, który błagał Pana: „Daj mi duchowe życie, ale jeszcze nie teraz!”.

Abraham Heschel zatytułował jedną ze swych wielkich książek *Bóg szukający człowieka*. Wielkie Źródło zawsze wyciąga swą rękę do ludzi, których porusza duch miłości, a nie lęku. I błogosławieni są ci, którzy gotowi są słuchać nauk pokoju i przekazywać swe inspiracje światu z odwagą i pewnością. Oby więcej nas ufało głosowi uzdrowienia i szanowało jego dary w działaniu.

Jayem jest kimś takim. Jest człowiekiem, który otworzył się na przewodnictwo z wyższych poziomów i przelał na papier idee

i odczucia ze swoich objawień, aby dzielić się nimi z innymi. Z pewnością podarowane mu słowa przeznaczone są również dla nas wszystkich.

Jestem głęboko wdzięczny za słowa Jezusy, słowa wielkiej łagodności, mądrości i jasności zawarte w tych lekcjach. Jezua jest nauczycielem o głębokim współczuciu, sile i bezkompromisowości w odróżnianiu niewolących nas złudzeń od rzeczywistości, która nas uzdrowia. Jezua radzi: „Nie prosz o zbawienie. Prosz w zamian, abysz się przebudził z ostatnich śladów przekonania, że kiedykolwiek byleś oddzielony od Boga”.

Nauki Jezusy uosabiają najważniejszy element prawdziwego duchowego rozwoju: praktyczność. Przewodnictwo Ducha Świętego jest zawsze natychmiastowe, użyteczne i skuteczne. Duchowa rada jest cenna na tyle, na ile można nią żyć, a Jezua, prowadząc do duchowego przebudzenia, szanuje piękno życia. „Doświadczanie życia z chwili na chwilę jest ścieżką do twego oświecenia”. Oto afirmacja, która może przemienić najbardziej bolesne doświadczenie w dar od Boga. Jezua radzi również, abyszmy „przyzwalali, przyzwalali, przyzwalali”, gdyż otwiera to drzwi życiowej sile uzdrawiania, aby przesunęła nas poza nasze ograniczone przekonania o tym, co jest dobre, a co jest złe. „Droga jest łatwa i nie wymaga wysiłku. Albowiem to, co przychodzi z wysiłkiem, jest ze świata, a nie ze Mnie”.

Krótko mówiąc, Jezua jest nauczycielem, który w mistrzowski sposób łagodnie równoważy mądrość intelektu z mądrością serca. Można by wziąć praktycznie dowolny fragment z *Listów* i medytować nad nim, obierając go jako swą bramę do uzdrowienia. Jezua demonstruje, że prostota i mistrzostwo nie stoją w sprzeczności; one są jednym.

Książka ta jest darem drogim memu sercu jeszcze z jednego powodu. Jest ona szczerym zapisem osobistego wewnętrznego

procesu Jayema, gdy zaczął otrzymywać materiał, zapisywać go i dzielić się nim. Jesteśmy zapraszani, by podążać drogą człowieka, który zmagął się ze swoją rolą kronikarza prawdy z Nieba. „Kto, ja?” – to często powracające pytanie, z którym się borykał. Widzimy jego ewolucję od wczesnych wątpliwości i nieśmiałości do głębokiego przekonania, że wypełnia ważne zadanie, które dałoby wykracza poza jego ludzkie ego.

Ten element *Listów Jezusy* jest wyjątkowo wzruszający, bowiem w nim Jayem reprezentuje nas wszystkich, gdy na swój własny sposób otwieramy się na bycie przekazicielami i sługami Ducha. Istnieje część naszego umysłu, która się zastanawia, czy Bóg rzeczywiście mógłby wybrać nas do wykonania konkretnej misji. Być może nie będziemy zapisywali natchnionych słów lub nauczali metafizycznych zasad, lecz z pewnością każdy z nas został wybrany, by w konkretny sposób przynosić światu światło. Naszą drogą może być muzyka, taniec, sztuka lub macierzyństwo. Forma nie jest tak ważna, jak fakt, że w każdym z nas jest dar, dany nam po to, abyśmy go przynieśli, a nasza gotowość, by dar ten dostarczyć, jest kluczowym czynnikiem wpływającym na zakres i moc, z jaką ofiarujemy go światu.

Proponuję, aby do tej ważnej książki podejść raczej z nastawieniem medytacyjnym, niż z nastawieniem logicznej analizy. Mamy tutaj wielką logikę Ducha, lecz logika ta nie ogranicza się do racjonalnego rozumowania. Dużo częściej Duch mówi do naszej wewnętrznej wiedzy. Jest w tym poezja, której nie wolno nam przeoczyć. Słowa powinny być smakowane i przyswajane w ciszy i z otwartym sercem. Wyobraź sobie, że Jezua mówi bezpośrednio do ciebie, a odnajdziesz przesłanie dla siebie.

Niech *Listy Jezusy* będą dla ciebie inspiracją, aby na swój własny sposób stać się naczyniem Ducha. Jezua prawdopodobnie zgodziłby się ze stwierdzeniem, że mieliśmy już wystarczającą

liczbę uczniów, teraz jest czas na większą liczbę mistrzów. Celem tej książki nie jest większe uzależnienie nas od kogoś będącego na zewnątrz nas, lecz zwrócenie się do wewnątrz i tam odkrycie mistrza, którego szukaliśmy.

Błogosławię Jayema za jego wielki i szlachetny dar, i ciebie za przyjęcie wielkich prawd, jakie ten dar zawiera.

Wstęp

Przed chwilą, gdy napisałem ostatnie zdanie tej książki, przemknęło mi nagle przed oczami wspomnienie. Pojawiło się z taką jasnością i mocą, że nie tylko widziałem obraz, ale również poczułem zapach i wręcz fizyczny wymiar tego doznania.

Mam około pięciu lat. Mama przyprowadziła mnie na wieczorne nabożeństwo do kościoła. Świece palą się na parapetach wszystkich okien. Ich urzekające światło migocze i odbija się od witraży, które wydają się znikać wysoko nade mną, przechodząc w ostre łuki.

Siedzimy na twardych, drewnianych ławkach, które rozciągają się na olbrzymią odległość – tak to wówczas widzę – ustępując w końcu wyłożonemu dywanem podestowi, na którym przysiadł ołtarz przystrojony delikatnym białym płótnem obszytym złotymi frędzlami. Na ołtarzu, po obu stronach złotego krucyfiksu, stoją dwa kandelabry. Za ołtarzem wisi górujący nad wszystkim krzyż, który sięga od sklepienia do samego ołtarza.

Coś czuję. Odwracam się do mamy i stwierdzam rzeczowym tonem: – On tutaj jest, mamusiu.

– Kto jest tutaj, kochanie? – nie odwracając głowy pyta mama, wertując strony kościelnego śpiewnika.

– Chrystus – odpowiadam pewnie.

Teraz mama odwraca się i spogląda na mnie.

– Nie, kochanie, to nie jest Chrystus. To jest pastor.

Pastora w ogóle nie widzę.

– Nie, mamusiu, Chrystus jest tutaj – odpowiadam z naciskiem i dość głośno tak, że mężczyzna siedzący obok mamy z drugiej strony spogląda na mnie, a później na mamę. Uśmiechają się do siebie i mama prosi mnie, abym był już cicho, gdyż zaraz zacznie się nabożeństwo.

Jestem zdziwiony, gdy staje się dla mnie jasne, że nikt inny Go nie zauważył i po raz pierwszy ogarnia mnie zwątpienie. Ale czym więc było to uczucie?

Później, gdy nauczyłem się już czytać, często ukradkiem brałem do łóżka latarkę i kiedy byłem już pewien, że wszyscy śpią, wyciągałem Biblię, wchodziłem pod kołdrę, by ukryć światło i zmagalem się z rozbieżnością pomiędzy tym, co czułem, gdy czytałem słowa przypisywane Jezusowi (to było to samo uczucie, jakiego doznałem wtedy w kościele), a tym, co wszyscy mi mówili, wyjaśniając znaczenie Jego słów. Nawet dużo się modliłem, bo nauczono mnie, że Bóg wysłuchuje modlitw. Byłem jednak przekonany, że moje prośby były pomijane!

Stopniowo pogłębiała się moja frustracja. Im byłem starszy, tym bardziej uświadamiałem sobie, że byłem w mniejszości. W sumie w miarę jak mój społeczny świat się poszerzał, wydawało się oczywistym, że większość ludzi naprawdę niewiele te rzeczy obchodziły. Albo byli zbyt zajęci, by o tym myśleć, albo byli dość pewni tego, gdzie był Chrystus: w niebie, siedział po prawicy Ojca.

Nie pamiętam, kiedy to się stało, ale zapomniałem o tym uczuciu i na swój sposób – tak jak wszystkich innych – wciągnął mnie teatr mego własnego życia.

Jednak owo Pytanie tak naprawdę nigdy nie umarło. Wyłoniło się ponownie wiele lat później i poprowadziło mnie ku intensywnym studiom filozofii i religioznawstwa, w których odkryłem

skarby Wschodu: wzniosłą mądrość Zen, a zwłaszcza głębokie zrozumienie i przemieniające ścieżki jogi i medytacji. Tu owo uczucie nie tylko wydawało się być rozumiane, ale było godne poszukiwań i doskonalenia!

Pomimo mojego całego entuzjazmu i okresów dyscypliny spędzałem również wiele czasu na unikaniu tego tematu, rozpraszając się konwencjonalnymi formami uników, jakie wszyscy dobrze znamy. Niemniej jednak moje zamiłowanie do duchowości Wschodu trwało i z biegiem lat oddaliłem się coraz bardziej od wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z chrześcijaństwem. To właśnie sprawia, że otrzymanie przeze mnie *Listów Jezusy* jest tak niezwykle, albowiem postać, która je dała, przedstawia się wyraźnie jako Jezus, historycznie istniejąca osoba.

Przesłanie zawarte w tych listach jest radykalne, a nawet zagrażające, w zależności od przyjętej przez ciebie perspektywy. Jestem absolutnie przekonany, że moje dziecięce modlitwy zostały wysłuchane. Właściwie to oczywistym jest, że całe moje życie służyło owej Odpowiedzi, cierpliwie wskazując mi wszystkie te miejsca – zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz mnie – w których nie ma Chrystusa i łagodnie przygotowując mnie, abym usłyszał Mistrza, oraz pomagając mi zrozumieć, co czuł tamten pięćdziesięcioletni chłopiec.

Moja podróż przebudzenia nie różni się tak bardzo od twojej podróży. W zasadzie rozumiałem, że moja podróż jest twoją, tak jak i twoja jest moją. Albowiem nasz udział w tej wielkiej tajemnicy, którą zwiemy „życiem”, wiąże się z uczuciem niezwykle świętej bliskości. Choć na powierzchni nasze życia mogą się jawić jako bardzo od siebie różne, to na najgłębszych poziomach praktycznie niemożliwe jest odróżnienie jednego od drugiego.

Otwarte i szczere dzielenie się naszymi pozornie odrębnymi drogami pomaga nam wszystkim przybliżyć się do Odpowiedzi,

której szukamy, niezależnie od tego, w jaki sposób zadajemy to Pytanie.

Jeśli dzięki memu podzieleniu się *Listami Jezusy* choćby tylko jeden czytelnik dostrzeże na swej ścieżce światło lub zostanie przynaglony, by w nowy sposób formułować fundamentalne pytania, wówczas wartość tego będzie o wiele większa niż sam czas włożony w napisanie tej książki.

Niech Światło błogosławi twą podróż.

Jayem

Rozdział pierwszy



*Każdy z was
jest tutaj tylko z jednego powodu:
by ponownie uświadomić sobie Prawdę
i wrócić do Domu.*

20 lipca 1987 r.

– Dobrze się czujesz? – pyta Kendra.

– Co? – na chwilę odwracam głowę i spoglądam na nią, ale równie szybko odwracam wzrok. – Tak, dobrze – mamrocę coś bez przekonania, wciskając się głębiej w kanapę, a nogi opierając o wiklinową skrzynię służącą jako stolik do kawy.

Siedząca obok mnie Kendra pochyła się, sięga po filiżankę, bierze nieśpiesznie łyk herbaty i zastyga na chwilę, trzymając filiżankę w obu dłoniach.

– Jesteś pewien, że nic ci nie jest?

Nie chcę o tym rozmawiać. Tak, chcę. Nie, nie chcę. Cały dzień czuję się rozkojarzony. Z niechęcią uświadamiam sobie, że oglądanie telewizji również nic nie daje. Technologia znów mnie zawodzi.

– Miałem dość ciekawe doświadczenie w czasie medytacji dzisiaj rano. Chyba trochę mi to zaprzęta myśli.

– Trochę? Mało powiedziane! Jesteś nieobecny odkąd twoje ciało przekroczyło próg tego domu godzinę temu! – Kendra odkłada filiżankę i opiera się, zwracając w moją stronę, tak by móc patrzeć wprost na mnie. Nie zamierza pozwolić mi wykręcić się z tej rozmowy.

Wzdycham, rozluźniam ramiona i przywołuję wspomnienie tego, co wydarzyło się dziś rano...

Zobaczmy... Żelazko podłączone, więc w czasie, gdy się będzie nagrzewało, skoczę szybko do kuchni i zrobię sobie koktajl. Trochę soku, dwa jajka, szczypta wanilii, jeden duży banan i dwie łyżki spiruliny, szmaragdowozielonej algi. Wciskam włącznik blendera i za chwilę napój nabiera ciemno zielonego koloru.

„Ach, jedna z przyjemności życia” – myślę sobie. Parę łyków później przyjemność już się rozmywa.

Sprawdzam żelazko i krzywię się. Ciągłe się nie nagrzało. Dobrze, sprawdzę, czy mam wszystko w teczce. Papiery? Są. Okulary? Są. Pióro? Jest. Zaświadczenia? Gdzie są zaświadczenia? Czy w tej teczce żyje jakiś pożeracz zaświadczeń?

Zamykając teczkę wrzuszam ramionami i stawiam ją w przedpokoju. Dzisiaj nie przekonam do siebie nikogo, z kim będę rozmawiał.

Żelazko w końcu się nagrzało i parę minut później wkładam prawie doskonale wyprasowaną koszulę. Guziki zapięte, koszula włożona w spodnie, kieruję się do sypialni po krawat, gdy to się wydarza. Nie wiadomo skąd i bez żadnego oczywistego powodu uderza mnie nagły impuls, by usiąść do medytacji. Siła tej myśli jest tak potężna, że dosłownie staję jak wryty.

W końcu dochodzę do siebie, a moją jedyną reakcją jest myśl: „To absurd. Przecież nie biegam tam i z powrotem po to, by jakoś zabić czas”. Niemniej jednak ta myśl nie ustępuje (jeśli można nazwać „myślą” uczucie, które odbiera się całym ciałem, a które zarazem jest również głosem rozbrzmiewającym pozornie wszędzie wokół mnie).

Właściwie doświadczenie to jest tak mocne, że moje priorytety nagle ulegają zmianie, gdy wracam do salonu i opadam na kanapę. Siadając ze skrzyżowanymi nogami, zerkam przez chwilę przez okno na wody Puget Sound, gdzie jeden z tankowców płynnie powoli, mijając Vashon Island.

„To naprawdę jest absurd” – głos rozsądku jest teraz łagodniejszy, próbując po raz ostatni przyciągnąć mą uwagę.

Zaczynam oddychać miękko, łagodnie i rytmicznie. Z czasem oczy zamykają mi się same i jestem coraz bardziej świadomy niezliczonej liczby wirujących, jałowych myśli, kręcących się wokół, pędzących przez umysł. Z początku wydają się mnie pochłaniać, wywołując chwilowe emocje, które z kolei generują kolejne myśli.

Powoli zaczynam stawać się coraz bardziej świadkiem tego pokazu zawartości umysłu, uwalniając przywiązanie do treści i spoczywając coraz głębiej w samej świadomości.

Teraz przychodzi pogłębiające się poczucie pokoju i swobody, w miarę jak kłębiące się fale zaczynają stapiać się z bezkresnym i cichym morzem. Myśli jest coraz mniej, aż w końcu pozostaje tylko cisza. Oddech jest ledwie zauważalny, morze umysłu spokojne, jasne, puste. To, że doświadczenie medytacji zostało zredukowane przez Boga Nauki do fizjologicznych mechanizmów „reakcji relaksacyjnej”, niewiele znaczy, kiedy porówna się je z tym precudownym doznaniem. To najnaturalniejsze z doznań.

Doskonałe wyciszenie zaczyna ustępować, jednak nie zwykłemu odrodzeniu się toku myśli. Z pustki wyłania się miękkie, złote światło, niczym punkcik gwiazdy świecącej w ciemności nocy. Rośnie bez wysiłku, miarowo, rozszerzając się, zbliżając coraz bardziej, ostatecznie całkowicie wypełniając pole mego wewnętrznego widzenia, przenika moje całe jestestwo, aż w końcu nie ma niczego prócz tego niebiańskiego światła.

Kendra, urzeczona, słucha z uwagą mej opowieści.

– To jest to, Kendra. Wiem, że prawdopodobnie brzmi to bałalnie, ale to jest to.

Jej twarz wyraża zaintrygowanie, więc nie musi nic mówić.

– To znaczy: to miejsce, to *uczucie*. Jeśli tylko mógłbym żyć w tym uczuciu, w tym miejscu, nigdzie indziej nie trzeba by już chodzić, o nic nie trzeba by się już starać, niczym ani nikim nie trzeba by być, czy się stać. Czy to, co mówię, ma sens?

Dlaczego Kendra się uśmiecha? Dlaczego jej oczy błyszczą?

– Och, Marc! To jest wspaniałe! – Kendra milknie na chwilę, a następnie mówi: – Wiesz, jesteś wielkim szczęściarzem.

Słyszając to, zatrzymuję się. Wpatruję się w nią przez dłuższą chwilę.

– Szczęściarzem? Kendra...

– Marc – przerywa mi – czy wiesz jak wielu ludzi chciałoby doświadczyć takiego stanu? Masz bibliotekę pełną książek pochodzących ze wszystkich kultur, ze wszystkich filozoficznych perspektyw, ze wszystkich religii. Wiesz, że w samej ich głębi one *wszystkie* mówią o właśnie tego rodzaju doświadczeniu – przy użyciu różnej terminologii.

Kendra najwyraźniej nie załapała o co chodzi. Prawdopodobnie trochę coś kręciłem, opowiadając tę historię. Zauważyłem, że oddech mi nieco przyspiesza i czuję rosnące napięcie mięśni twarzy.

Kendra nic nie mówi, lecz oczy utkwiała we mnie, w ciszy zastanawiając się nad moim brakiem entuzjazmu. Nie potrafiąc już dłużej trzymać tego w sobie, przerywam milczenie.

– Chodzi o to, że, no cóż, było jeszcze coś więcej, niż to.

– Jeszcze coś więcej? Co więcej, Marc? – pyta z błaganiem w głosie. – Co jeszcze się stało?

– Kendra – przerywam i odwracam się, by na nią spojrzeć. – Obiecujesz, że nikomu o tym nie powiesz?

– Jeśli się teraz nie przyznasz, to już nigdy więcej nic nie powiesz! – wykrzykuje, szturchając mnie w żebra po przyjacielsku, choć niezbyt łagodnie.

Spoglądam w bok, nie patrzę na nic konkretnego, ale raczej cofam się do wspomnienia, ciągle świeżego i żywego, które – wiem o tym – *zawsze* pozostanie tak jasne, jakim jest teraz.

– Otworzyłem oczy. Punktik światła tkwił w samym centrum pokoju. Z samego środka tego światła zaczęła wyłaniać się forma, obraz jakiejś postaci. Wydawało się, że jest ona ubrana w coś jakby długie, lśniące szaty. Ta forma zaczęła płynąć w moją stronę, stając się coraz bardziej wyraźna, a jednak pozostając tożsama ze Światłem, z którego się wyłoniła.

Będąc coraz mniej skrępowanym dzieleniem się tym przeżyciem, odwracam się, by spojrzeć na Kendrę. – Gdy postać podeszła bliżej, nagle ją rozpoznałem. To było tak, jak gdyby nagle zza rogu wyszedł niewidziany od wielu lat przyjaciel i w tej jednej chwili, gdy pada na niego twój wzrok, ty bez pytania i bez zastanawiania się *wiesz*, kto to jest. Z tym że w tym przypadku towarzyszyło temu również rozpoznanie, że nie widziałem go wcześniej fizycznymi oczami ciała. Czy to ma sens?

Twarz Kendry ujawnia odpowiedź, emanuje zgodą i akceptacją, co pozwala mi kontynuować.

– Zaczął podchodzić coraz bliżej i poczułem rosnącą intensywność energii, niczym fale radości i ciepła, aż w końcu widziałem tylko jego oczy. Jego wzrok wydawał się przelewać przeze mnie i czułem jakbym rozpuszczał się w jego pełnych niesamowitego spokoju oczach.

Zatrzymuję się, nie jestem pewien, czy kontynuować, lecz Kendra nie pozwala mi na tym skończyć. Jej twarz wyraża ciekawość. Przez chwilę badawczo mi się przygląda.

Cholera. Nie mam wyjścia. Znam to spojrzenie. Nie pozwoli mi pójść, dopóki wszystkiego nie wyznam.

– Co jeszcze?

– Rozmawialiśmy, a raczej to on chyba mówił do mnie.

– No i...? – Kendra nie pozwala mi nawet na wzięcie oddechu. – Co powiedział?

Zaczynam się lekko garbić i zwieszam głowę. – Powiedział, że ma dla mnie przesłanie. Powiedział, że chodzi o coś, nad czym teraz pracuje, czy coś takiego.

– No i...?

Potrafi być nieustępliwa!

Dlaczego tak się z tym zmagam? Kendra była i jest ze mną we wszystkim, przez co przechodzę. We wszystkich wzlotach

i upadkach. W największych upadkach, jakie tylko są możliwe. Zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny – może nawet lepiej niż ja znam siebie – i nadal mnie kocha! Jeśli to nie jest cud, to cudów zwyczajnie nie ma.

Ech, do licha! FBI to ona przecież nie jest. Wypluwam z siebie resztę: – Powiedział, że znaleźliśmy się w czasie jego wcielenia na ziemi i powiedział, no, powiedział, jak się nazywa...

Ciągnę dalej, ścisząc głos: – Jego imię, całe jego życie było i nadal jest zagadką, jak się wydaje, dla całego świata.

– Jeśli próbujesz przetestować moją cierpliwość, to ci się udaje!

– Dobrze, już dobrze, powiedział, że znam go pod imieniem „Jezua”.

– Masz na myśli *tego* Jezua? Tego, którego znamy wszyscy jako Jezusa?

– Tak, *tego* Jezua.



Kendra bardzo się ożywia: – Co jeszcze powiedział? Co to za przesłanie? Och, Marc, to jest wspanialsze, niż myślałam, niż *jestem w stanie* pomyśleć. Co on zamierza... kiedy on...

– Poczekaj! – podnoszę gwałtownie ręce, domagając się ciszy.

– Kendra, co w tym wszystkim jest takiego wspaniałego? Z głębi milej, spokojnej medytacji wyłania się jakaś postać, ogłasza mimochodem, że nazywa się Jezua, że był i jest znany jako Jezus, że zamierza dać mi jakieś przesłanie, a żeby tego było jeszcze mało, to mówi, że go znałem!

– No i w czym problem?

– W czym problem? Boże, myślisz, że ja chcę, żeby to się działo? Dobrze, przyznaję, że jestem otwarty, by czytać o takich rzeczach, ale chodzi o to, że...

Kendra kładzie dłoń na moim ramieniu: – Chodzi o *co*, Marc?

– Chodzi o to, że to mnie *przeraza*. To znaczy, bardzo pięknie i dobrze jest zagłębiać się w metafizykę i temu podobne – z punktu widzenia obserwatora. Oto właśnie, co daje nam intelekt: przestrzeń pomiędzy nami a samym doświadczeniem! Nic nie musi się zmienić, rozumiesz? Mogę czytać książki, brać udział w warsztatach, chodzić na wykłady, robić wszystkie tego rodzaju rzeczy, ale część mnie ciągle może czuć się bezpieczna. A poza tym, co jeśli to wszystko to tylko jedna wielka ściema ego? A co, jeśli ja to wszystko wymyślałam?

Uśmiech znika z jej twarzy, gdy uświadamia sobie, że naprawdę się boję. Siedzi przez chwilę zamyślona, wyciąga papierosa z paczki leżącej obok filiżanki herbaty, bierze do ręki zapalniczkę i siada rozluźniona, wygodnie się opierając.

Nie podnosząc wzroku, pyta się: – Czy pamiętasz, co ci opowiadałam o mojej sesji z Jeremiaszem?

Jej pytanie jakby pobudzało jakieś wspomnienie i nagle wszystko wdziera się w mą świadomość. Jak gdyby ktoś przekradł się obok strażników do mojego archiwum, ściągnął segregator z jakiejś zapomnianej półki stojącej w słabo oświetlonym rogu i zdmuchnął kurz pokrywający etykietę:

Jeremiasz. Istota pozacielesna, kontaktująca się za pośrednictwem Billie Ogden. Dziwna, nieweryfikowalna informacja przekazana Kendrze w marcu 1987 roku. Materiał zarchiwizowany do wglądu w przyszłości.

– Tak, pamiętam. Spotkaliśmy się na lunch w tej kawiarni w Ballard.

– Pamiętasz, co ci opowiedziałam?

– Coś tam pamiętam.

Kendra wie, że nie chcę otworzyć tego segregatora z przeszłości. Rozpoznając moją niechęć, prostuje się i mówi bardziej stanowczym tonem:

– Jeremiasz, jeśli zechcesz sobie przypomnieć, przekazał mi dość zaskakującą informację o tobie, o mnie i o Jezusie. Nie przypominasz sobie, jak byłam tym wszystkim podekscytowana?

– Dobrze, dobrze, pamiętam. Wygodnie było o tym zapomnieć, aż do teraz.

– Nie sądzisz, że to ciekawe, że pojawiająca się za pośrednictwem Ogden istota, której nigdy wcześniej nie widziałeś, mówi, że ty i ja znaleźliśmy się w owych czasach i że byliśmy obecni, gdy Jezus głosił Kazanie na Górze? Przy czym ja wcześniej nawet nie wspomniałam o tobie!

Krzywię się. Teraz moja kolej na papierosa. Obracam go w rękach, patrząc jak wysypują się z niego drobiny tytoniu, a przecież ja nawet nie palę.

Kendra kontynuuje: – Powiedziałam ci to wówczas, powiem to raz jeszcze. Kiedy Jeremiasz to powiedział, to było jakby ktoś otworzył na oścież okiennice. Marc, nie mam co do tego żadnych wątpliwości, nawet jeśli będziesz się upierał, że to jest zbyt naciągane. A teraz w zasadzie zostało ci powiedziane coś podobnego. Dlaczego to jest dla ciebie tak trudne?

Rzucam papierosa, zmęczony się wybieraniem kawałków tytoniu spomiędzy palców.

– Zawsze możesz wrócić do Jeremiasza i zapytać go, co się dzieje.

Wzdycham, podnoszę się z kanapy i podchodzę powoli do szklanych drzwi. Otwieram je trochę szerzej, aby poczuć wzbierającą na zewnątrz bryzę. Ten Jeremiasz to jest prawdopodobnie jakiś zwiadowca bogów deszczu, ukrywających się zawsze gdzieś na północnym zachodzie kraju.

Myśl o tym, że mogę mieć do czynienia z kolejną z tych niewidzialnych dusz – albo istot, albo bezcielesnych postaci, czymkolwiek by one nie były – nie jest dla mnie specjalnie atrakcyjna.

Zaczynam mówić, nie odwracając się w jej stronę.

– Wiesz, prawie trzy lata temu wracaliśmy z koleżanką do domu. Jechaliśmy jej samochodem z Seattle, gdzie byliśmy na biznesowym szkoleniu. Siedziałem na tylnym siedzeniu i w trakcie rozmowy Lyndia obróciła się do mnie i zasugerowała mi, abym spotkał się z Jonaszem, bo właśnie nagle mocno poczuła, że byłoby to dla mnie dobre. Cholera, myślałem, że ona mówi o jakimś zespole muzycznym, albo czymś takim. Zawahała się, a następnie wyjaśniła, że Jonasz to istota, która kontaktuje się poprzez channeling*.

Odwracam się w stronę Kendry i mówię dalej:

– Boże, poczułem ciarki na plecach! Lecz uświadomiłem sobie, że to nie z powodu lęku, lecz dlatego, że jej rada była słuszna. Nigdy wcześniej, nawet w najbardziej hipotetyczny sposób, nie rozważałem takiej rzeczy. To pachniało bajką, pseudomistycyzmem. Jednak poszedłem na spotkanie. I jakoś nic już nigdy nie było takie samo. To było tak, jak gdyby Jonasz wiedział, po co przyszedłem i nie pozostawił mi żadnych wątpliwości co do tego, że zna mnie na wylot.

Wróciłem na kanapę i opadłem na nią. Kendra nadal nie zapaliła papierosa, co mi w zasadzie nie przeszkadzało.

– Powiedział parę rzeczy, które odczułem niczym przechodzące przeze mnie fale doznań, doznań, które były pewnego rodzaju

* Channeling – proces kontaktu z duchowymi istotami za pośrednictwem żyjącej osoby, który może przybierać różne formy: od przekazów ustnych, przez wizje, po przekazy pisemne. W tradycji chrześcijańskiej formą channelingu są tak zwane lokucje wewnętrzne, np. u księdza Dolindo Ruotolo, siostry Faustyny Kowalskiej czy polskiej mistyczki Alicji Lenczewskiej. W efekcie channelingu Jezua przekazał przez Jayema cały materiał *Drogi Mistrzostwa*. [przypis tłum.]

rozpoznaniem prawdy tego, co mówił. Część z tego, co powiedział, od czasu do czasu wraca, pojawiając się w mej świadomości, i przypominam sobie, że jakoś wiedziałem wówczas, iż jest to szczególnie ważne, choć nie miałem pojęcia, dlaczego tak to czułem. Powiedział:

*Mój przyjacielu, bywałeś waść wiele razy kimś, kogo
zowią filozofem.*

Czyż nie jest tak znów?

Zaprawdę, byłeś waść

– w tym, co rozumiesz

jako „przeszłe wcielenie” –

związany z tym Jednym Wielkim,

wielkim mistrzem.

Wiedz jednak waść bez wątpienia, że nie byłeś

tym Jednym Wielkim,

jednakowoż byłeś z nim związany.

Spoglądałam na Kendrę i szybko uprzedzam jej pytanie: – Nie, w ogóle nie przyszło mi na myśl, by się zapytać, kim jest ten „Jeden Wielki”. Gdy Jonasz mówił, czułem mrowienie w całym kręgosłupie, nie potrafiłem myśleć, a co dopiero mówić. Właściwie to powiedział on wtedy, że dobrze by było, żebyśmy skończyli, ponieważ mam wiele do przemyślenia.

Od tamtej pory miałem szereg doświadczeń, które można nazwać „mistycznymi”, nie wspominając o dziwnych zbiegach okoliczności, przeczuciach, przyciąganiu do pewnych ludzi i książek – jak gdyby jakiś niewidzialny magnes ciągnął mnie najpierw w jedną stronę, a później w drugą. Aż w końcu, pewnego niewinnego sobotniego poranka, usłyszałem jak Jonasz do mnie mówi. Wyskoczyłem z łóżka i bazgrząc zapisałem jego słowa, wraz

z wszystkimi charakterystycznymi dla niego zwrotami, jak „na li-
tość boską” czy „waść”. Zdajesz sobie sprawę, jak bardzo byłem
wobec tego sceptyczny i nieufny?

– Oczywiście, że tak! I nie zapominaj o tym wykładzie w Bel-
leuve, kiedy na wiele godzin przed jego rozpoczęciem usłysza-
łeś, jak Jonasz mówi ci, że będzie rozmawiał z tobą bezpośred-
nio. A później podczas wykładu wstał i podszedł prosto do cie-
bie, w zasadzie ogłaszając wszystkim, że komunikował się z tobą
wcześniej.

Takiego wspomnienia się nie zapomina, ale Kendra o tym wie.

– Tak! Ale byłem i nadal *jestem* sceptyczny i nieufny!

W końcu Kendra zapala papierosa i zamyślona zaciąga się głą-
boko.

– Wiesz co, Marc? Jeśli Jeremiasz budzi w tobie podejrzenia,
mógłbyś zawsze zwrócić się do Jonasza.

Odpowiadam bez namysłu: – Kendra, po prostu nie chcę bie-
gać wkoło i o to, czego w tej chwili doświadczam, pytać jakiejś
istoty, która od czasu do czasu zamieszkuje ludzkie ciało. Chcę
mieć możliwość rozpatrzenia tego ze swego punktu widzenia, do-
brze? Wolę sam nad tym pracować.

Patrzy na mnie badawczo. Czuję to. Jakie subtelne informacje
odbiera?

– Przez ponad trzy lata rozwijałeś w sobie głęboki podziw dla
miłości i przewodnictwa, jakim obdarza Jonasz i wiesz również
ze swojego doświadczenia, że jego rady są nieomyłne. Cóż takiego
mógłby powiedzieć, czego się aż tak lękasz?

To jest właśnie to. To jest właśnie to, co odbierała: lęk.

Odwracam się nieco w jej stronę. Zginam nogę, wkładając
stopę pod drugie udo. Nie jest mi wygodnie, więc próbuję w dru-
gą stronę. Tak też niedobrze. Ostatecznie stawiam obie stopy
na podłodze.

– Słuchaj, wydaje mi się, że są tylko dwie opcje. Jonasz odpowie, że albo to się dzieje, albo to się nie dzieje – że to tylko moja bujna wyobraźnia.

Kendra wygląda na zaskoczoną: – A co w tym złego?

– Kendra, nie rozumiesz? Jeśli to się naprawdę dzieje, wówczas coś z tym będę musiał zrobić! A jeśli w jakiś sposób to wszystko zmyślam, dopiero wtedy *będę* miał problem. Problem taki zwykle wymaga pomocy psychiatry, który prawdopodobnie będzie musiał odwiedzać mnie codziennie w trakcie swoich obchodów po szpitalu Western State Hospital.

– To właśnie tego się boisz?

– Myślę, że boję się *jednego* i *drugiego*. Teraz to najbardziej chciałbym uniknąć całego tego tematu.

– Słuchaj, przecież ostatecznie to ty masz nad tym pełną kontrolę, czyż nie? Może pobądź z tym przez chwilę i jeśli nie poczujesz, że jest to w porządku, to zawsze możesz to rzucić. Z nikim nie musisz się tym dzielić, jeśli nie chcesz.

Oczywiście Kendra ma rację. Bezsporna prawda wydaje się mnie trochę uspokajać. Zaczynam łatwiej oddychać.

– Jezua podkreślił, że powinienem zapisywać to, co jest mi przekazywane. I że jeśli – gdy on jest obecny – skupię swą świadomość na nim i otworzę oczy, będę wówczas w stanie utrzymywać z nim łączność. Myślę, że to niczemu nie może zaszkodzić, prawda?

Odwracam głowę w stronę okna. Widzę, że ciepłe letnie słońce zniknęło przykryte niewielkim pasmem granatowych chmur, unoszących się nad Vashon Island. Bogowie deszczu ujawnili swą obecność.

Nie odwracając się, kontynuuję: – Jest jeszcze jedna rzecz. Dzisiaj rano uświadomiłem sobie, że nie po raz pierwszy nawiązałem ten kontakt.

Kendra siada prosto, kładąc rękę na moim ramieniu: – Nie pierwszy? A kiedy jeszcze to się stało?

– Parę tygodni temu, gdy pojechaliśmy wszyscy na kemping nad morze.



Jest wczesnie rano. Świt zaczyna rozpraszać noc. Spaceruję wzdłuż piaszczystego brzegu tuż przy linii wody, spoglądając najpierw na prawo, w dal aż po bezchmurny horyzont, następnie przed siebie ku odległym stromym klifom, gdzie prawie niedostrzegalnym wodospad toczy swe wody, opadając na spotkanie z morzem i rozbijając się majestatycznie na olbrzymich skałach u podstawy klifu.

Orzeł nagle podrywa się do lotu, wzbijając się nad wysokimi iglastymi drzewami, które okrywają spadziste zbocza wzgórz po lewej. Jego potężne skrzydła z mocą szybują na wietrze, przenikliwy wzrok bada wszystko, co się znajduje pod nim. Nie ma wątpliwości, czyj to jest teren.

Stało się to już naszym zwyczajem. Odkąd natknęliśmy się na to wspaniałe miejsce, przyjeżdżamy tutaj przynajmniej raz w roku. Zbieranie drewna obficie wyrzucanego przez morze, penetrowanie nieskończonej liczby sadzawek utworzonych przez cofającą się przy odpływie wodę i stanie oniemiałym w zachwycie pod sklepieniem gwiazd, tego po prostu nie da się zobaczyć nigdzie indziej, w pobliżu cywilizacji. Na szczęście nie jest to plaża, którą łatwo znaleźć, o ile nie zna się już do niej drogi.

Idę z naszego obozowiska w stronę północnego krańca plaży. Mój wzrok tańczy przez chwilę, podążając za orłem wznoszącym się na pustym niebie. Dochodzę do mojej ulubionej skały „do siedzenia”, wystarczająco dużej, by trzymać mnie poza zasięgiem spienionych fal. Siedząc w kucki i patrząc na rozbijające się

o skałę fale, zaczynam odczuwać niewiarygodny wdzięk i piękno: skała i spienione fale pochłonięte są zabawą. Wpatruję się w tę doskonałą wspólną grę, jej rytm przenika mnie, aż w końcu zaczynam czuć to, co słyszę.

Zaczyna we mnie wzbierać dziwne uczucie. To nie ból, z pewnością uczucie nie jest bolesne. Przypomina bardziej lekki szum, wibrację. Odczuwam je w centrum ciała, w pobliżu serca. Teraz porusza się ono, poszerza i wznosi, wypełniając mą głowę. Dziwne wydaje się równoczesne odczuwanie, jak i bierne obserwowanie tego dziwnego niewielkiego zjawiska.

Witaj, Marc.

Z tej wibracji wyłaniają się słowa, które są tak czyste i wyraźne, jak gdyby ktoś mówił mi je wprost do ucha. Wraz ze słowami wibracja wydaje się zmieniać i zaczynam czuć energię, ciepło, doznanie, jakiego do tej pory nie doświadczyłem. Jest wzniosłe i pełne spokoju nie do opisanania.

Słowa te mnie zaskakują, bowiem jest w nich niewątpliwe poczucie zażyłości, jak wtedy, gdy dzwoni do ciebie osoba, którą kochasz nade wszystko, i gdy odbierasz telefon, ona mówi po prostu „witaj”, a ty wiesz, kto to jest.

*Cieszę się, że dotarłeś do tego punktu,
w którym jesteś gotowy pozwolić,
aby doszło do tej komunikacji między nami.
Bądź pewien, że będę z tobą rozmawiał częściej
w przyszłości.*

Nie potrafię utrzymać kontaktu. Energia zanika i znów słyszę odgłos spienionych fal uderzających w swym tańcu o skałę

poniżej mnie. Słońce błyszczy i odbija się w wodach oceanu. Czuję na skórze silny powiew morskiej bryzy. Uświadamiam sobie, że do tego momentu nie miałem świadomości ani spienionych fal, ani bryzy, ani słońca.

Potrząsam głową i wstaję obolały. Nogi mam zeszytywniałe. Jak długo siedziałem w ten sposób?

„Co to było?” – mamrocę do siebie, gdy w końcu mogę poruszać nogami. Schodząc ostrożnie ze skały, skaczę z ostatniego pół metra na piasek nagrzwany słońcem, które weszło już wysoko na porannym niebie.

Zaczynam iść z powrotem do obozu, gdy nagle pojawia się niepokój. Opieram się. „Nie, to jest niemożliwe”. Znam tę postać gdzieś w głębi siebie, jednak nie potrafię jej nazwać. A może nie chcę.

Przyjaciele krzątają się w obozie, zaczęło się śniadanie. Siedzę w ciszy, obserwując jak łagodne fale wypływają na brzeg i cofają się do morza. Kojony stałym, rytmicznym dźwiękiem czuję poruszenie emocji gdzieś głęboko we mnie, jak gdyby w nieznanym mi miejscu. A może jest to miejsce zwyczajnie zapomniane?

– Chcesz jeszcze herbaty? – pytam Kendrę, powiedziawszy moje przeżycie na plaży.



Kendra nie odpowiada. Siedzi w bezruchu, patrząc nie tyle na mnie, co na wskroś mnie.

Idę do kuchni nastawić czajnik. – Ponownie miętową?

Kendra wstaje z kanapy, idzie w stronę kuchni i staje w drzwiach, opierając się o ścianę. Myślę, że nie słyszała mego pytania o to, jaką chce herbatę, więc będzie się musiała zadowolić miętową.

– Teraz pamiętam... – mówi cicho, wpatrzona we wspomnienia. – Pamiętam, że spojrzałam na ciebie, jak siedzisz na tym pniu, grzebiąc bez celu nogami w piasku, wpatrując się w dal oceanu. Uderzyło mnie, że coś się z tobą dzieje, lecz uznałam, że niewłaściwe byłoby ci przeszkadzać, więc dalej pomagałam przy śniadaniu.

Włożyłem torebkę herbaty do ceramicznego imbryka i zalałem ją gotującą się wodą. Przykryłem imbryk i odwróciłem się w stronę kuchenki, pamiętając, by ją wyłączyć.

– Marc, myślę, że musisz zaakceptować, że coś się tutaj dzieje.

Ściągam przykrywkę z imbryka, nachylam się i wpatruję w wodę, która zaczęła trochę zmieniać kolor. Para unosi się, ogrzewając mi policzki. Tak, zaczyna pachnieć miętą.

Przykrywam imbryk i odwracam się w jej stronę: – Tak, coś się tutaj dzieje. Lecz wprawia mnie to w zakłopotanie, mówiąc bardzo ogólnie. Nie prosiłem się o to i nie wiem, co z tym zrobić, ani nawet dlaczego tak się dzieje. Chyba jest to trochę dezorientujące.

– Błyskotliwe spostrzeżenie! – iskierki w jej oczach oraz przyjacielskie szturchnięcie w żebra pomagają mi uwolnić rosnące napięcie.

– Wiesz, Kendra, moja cała ścieżka duchowa od zawsze skierowana była ku Wschodowi.

Powiedziawszy to, uruchomiłem strumień wspomnień. Przemykające nieruchome obrazy tworzą film moich duchowych i filozoficznych poszukiwań: inicjacja w sztukę medytacji prawie dwadzieścia lat temu, czas na studiach spędzany na spijaniu wzniosłego piękna *Tao Te Ching*, lakoniczność buddyzmu zen, bogata i ponadczasowa poezja *Upaniszad*, fascynująca historia wojownika Arjuna w *Bhagavadgicie*. Później przemieniająca, lecz wzniosła praktyka jogi; godziny, tygodnie, miesiące, lata asan;

oddychanie; pogłębianie świadomości; uwalnianie ciała, umysłu i ducha; niekończące się mantry przechodzące w jasną i pustą przestrzeń samadhi. Doświadczenia „siddhi” lub też różnych „mocy”; telepatia, astralne podróże, wychodzenie z ciała i rozpoznawanie przeszłych wcieleń. Zrezygnowałem z tego wszystkiego, gdy zostałem ostrzeżony, że są to tylko przemijające zjawiska. Na wszystkie te obrazy i jeszcze więcej patrzyłem tylko przez krótką chwilę.

Nasze oczy spotykają się; oto dwójka przyjaciół tak bliskich, że nie tyle dzielimy się życiem, co stapiamy się w jedno. Granice naszych odrębnych istnień zacierają się, nachodzą na siebie, wpływając i wypływając z siebie nawzajem. Ona już to wszystko wie.

– Wiesz, jeśli objawiłby się tu bóg z hinduskiego panteonu – Kriszna albo Rama, albo stary dobry Patriarcha Zen, ba, nawet sam Budda – wówczas nie sądzę, że miałbym z tym jakkolwiek problem. To by do mnie pasowało, prawda? Ale Jezus? Jeeeeezuu, Kendra!

Stoimy i nadal patrzymy sobie w oczy, rozpoznając niezamierzoną grę słów.

W końcu przerywam ciszę: – Chcesz się teraz napić tej herbaty?

Kendra bierze filiżankę, tuli ją w obu dłoniach, delektując się jej ciepłem. Nie podnosząc wzroku, pyta cicho: – A tak w ogóle, to kto to właściwie jest filozof?

– To słowo pochodzi z greki, a właściwie to są dwa słowa: „fileo” zasadniczo znaczy „miłość”, a „sofia” – „mądrość”. Filozofia to umiłowanie mądrości. Filozof jest miłośnikiem mądrości.



Później tego dnia jestem sam. Siedzę na kanapie ze skrzyżowanymi nogami i rozluźniam się, spoglądając na ostatnie ślady łagodnego i krzepiącego zachodu słońca.

Ostrość widzenia powoli się rozmywa. Oddycham spokojniej i rytmiczniej. Czuję, jak gdyby moje oczy wycofywały się w głąb głowy i – tak jak to się już zdarzało wcześniej – w naturalny sposób kierowały się do góry. Czuję, jak gdyby moja świadomość skupiała się coraz bardziej z przodu mózgu, tuż za czołem. Otoczenie zaczyna znikać z mej świadomości, pozwalając na wyłonienie się rozpoznania wewnętrznego świata.

Teraz odbieram wrażenie ruchu i czuję, że ktoś prowadzi mnie w stronę czegoś, co jawi się jako drzwi. Otwierają się one i szybką przez tunel wspaniałego, pulsującego światła. Gdy zbliżam się do jego końca, widzę tam jasne światło, które zaczyna przybierać formę mężczyzny w lśniących szatach. Jego twarz wydaje się teraz znajoma.

Teraz zaczynamy.

Marc, powoli otwórz oczy.

Pozwól jednak, by twoja świadomość spoczywała przy Mnie.

Słowa te równocześnie słyszę i widzę, jak odcinają się na pustym tle. Jednak – co więcej – ja je czuję.

Jestem tym,

którego świat zna

jako Jezusa,

a teraz ty przyszedłeś

tutaj, gdzie JAM JEST.

*Nasze pierwsze spotkania
będą krótkie.
Powinny być przez ciebie traktowane
jako ćwiczenia
w uczeniu się dostrajania
do tego, co można nazwać Moją częstotliwością.*

*Tak naprawdę
miejsce, w którym JAM JEST, zawsze
jest dostępne dla ciebie
i dla każdego z synów Ojca,
albowiem właśnie tym
oczywiście
jesteście,
bez wyjątku, każdy z was.*

*I nadszedł dla was
czas powrotu pamięci.
Kto z was dokona wyboru, by obudzić się
ze snu, jaki wybraliście, by śnić
tak bardzo dawno temu?
Tęgo, czym będę się dzielił z tobą
w trakcie tych pierwszych spotkań,
nie można nazwać „głębką mądrością”.*

*Jednakże,
jeśli będziesz rozważał to, czym się z tobą dzielę,
może to zaprawdę
przyspieszyć twą podróż do domu.*

*Byłem z tobą od zawsze.
Zawsze
Mnie znasz.
Jesteś sługą Światła,
które wielu zwie Bogiem.*

*To jest wszystkim, czym zawsze byłeś,
nawet w tych wszystkich doświadczeniach –
które zwiesz „wcieleniami” –
jaki stworzyłeś w celu ukrycia się
przed prawdą, którą zawsze byłeś.*

*Wolno ci
porzucić ten sen.
Nie może ci już dłużej służyć.
Przywiódł cię on
– poprzez doświadczenia –
do rozpoznania
wszelkich form uników,
jaki kiedykolwiek wymyśliła ludzka dusza,
a wszystko dlatego, że uważa się ona
za niegodną swego dziedzictwa!
Podzielę się z tobą
Moim ostatecznym przestaniem
dla synów Żywego Boga.
Kiedy to zadanie zostanie ukończone,
powrócę tam, gdzie JAM JEST, czekając na obwieszczenie
Nowego Wieku Światła
na tej fizycznej płaszczyźnie.
Wkrótce się to objawi.*

*Teraz,
odejdę.
Postaram się zaszczepić w tobie
przekonanie o Prawdzie, którą znasz.
Ufaj swemu wewnętrznemu głosowi.
Nie zawiedzie cię
ani cię nie oszuka.*

*To w cichej pokorze
przemawia głos Ojca.
Wiedz z pewnością, że Ja,
ten, którego znasz jako Jezua,
zaprawdę zawsze jestem z tobą,
przez całą wieczność.*

Spoczywaj w pokoju.

Amen.

Gdy jego energia powoli znika, stopniowo powracam do mej codziennej rzeczywistości. Powracam? A gdzie byłem? I kto tam się udał? Co to znaczy „przyjdź tutaj, gdzie JAM JEST”? Gdzie to jest? Skąd wyszedłem, nie używając siły mięśni? Z mego „snu”? Wzdrygam się, rozglądając się wkoło: zestaw stereo, kominek, poruszane wiatrem kwiaty na balkonie.

Przypominam sobie, jak George Berkeley, osiemnastowieczny filozof, dowodził kiedyś, że to, czego doświadczamy, jest tylko snem. Mając już dość słuchania tych wywodów, jeden ze studentów wyszedł, krzycząc, że obali dziwną teorię poczciwego biskupa. Niewiele się namyślając, kopnął z całych sił kameień, łamiąc przy tym palec! Oczywiście student nie zrozumiał

o co chodzi, lecz jakaś część mnie również bardzo chce kopnąć taki kamień.

Skrycie zaczynam podejrzewać, że rozglądając się wokół siebie, nie zrozumieję tego, co doświadczam. I jest to niepokojące.



15 sierpnia 1987 r.

Teraz zaczynamy.

*O jakąż Miłością darzę
synów Boga,
niezależnie od tego, czy chwilowo utożsamiają się
z byciem mężczyzną czy kobietą, bowiem –
w Prawdzie –
Syn jest Jednym.*

*Syn jest tym,
co rodzi się wiecznie
ze Świętego Ojca,
który jest niewypowiedzianą,
a jednak zawsze obecną pełnią.*

*Dlatego też
Miłość, jaką czuję,
jest Miłością, którą JAM JEST.
Ten termin oznacza
nie zwyczajne „ja” jako „Jezua”,
ale Prawdę i Rzeczywistość
tego, czym wszyscy jesteśmy.*

*Pozwólcie sobie poczuć
prawdę tego,
że każdy z was
jest tutaj tylko z jednego powodu:
by znów uświadomić sobie Prawdę
i powrócić do domu.*

*Nigdy wcześniej na ziemi
nie było takiej okazji, jak teraz,
aby to się stało.
Jednak nawet kiedy syn
stoi przed drzwiami i puka,
a Ojciec drzwi otworzył,
nadal pozostaje do dokonania wybór.
Jaki będzie twój wybór?*

Amen.

Kendra kładzie na stole spisane słowa Jezusy, nie odrywając od nich oczu.

– Przepraszam, że tak długo czytałam, ale bazgrzesz jak kura pazurem!

– To się dzieje tak szybko, że ledwie nadążam. Nawet ja mam problemy z odczytaniem siebie. Może powinienem nauczyć się stenografii!

Kendra uśmiecha się i podnosi oczy znad leżącego pomiędzy nimi notatnika.

– Chcę żebyś wiedział, że czuję, że to, co się dzieje, jest dobre, Marc. Zachęcam cię, żebyś śmiało się w to zaangażował, cokolwiek jeszcze się wydarzy.

Kręcę się niespokojnie. Boże, byłoby pięknie, gdybyś kazał jej powiedzieć, że to są bezwartościowe banały.

– „Syn jest Jednym”. Kiedy to powiedział, uderzyła mnie głębia tej myśli, ale cholera, teraz nie wiem. – Wstaję z krzesła i idę sprawdzić stan drzewka bonsai. Nigdy tego nie robię. Mimo iż utrzymuję, że jestem miłośnikiem domowych roślin, zdarza się, że przez całe miesiące nie zauważam, że któraś z nich uschła.

– Marc, czy mogę ci coś zasugerować?

– Oczywiście, mów.

– Kiedy za parę tygodni pojedziesz na wakacje na Molokai, może poświęcisz trochę czasu na kontemplację tego wszystkiego? Może otrzymasz jakieś odpowiedzi na pytanie, dlaczego to się dzieje i co się dzieje. Z jakiegoś powodu wydaje mi się, że jest to ważne. Co o tym myślisz?

Nie muszę się zastanawiać ani chwili nad tą sugestią: – Nie ma mowy! Ostatnią rzeczą, jaką chciałbym robić, to próbować to rozgryźć. Zamierzam się wyluzować, odprężyć, być normalnym turystą. Moim głównym zadaniem jest wchłonąć tak dużo wspaniałego hawajskiego słońca, jak to możliwe i na to spożytkuję całą moją energię!

Drzewko bonsai chyba przeżyje, nawet przy braku opieki z mojej strony. Wracam do stołu, opadam ciężko na krzesło i biorę do ręki spisany przekaz.

– Posłuchaj, czuję, że muszę poddać się temu doświadczeniu. Jednak coś we mnie naprawdę tego nie chce. Ale wiem, że zawsze mogę to spalić, a przynajmniej upchnąć do jakiegoś pudła i zakopać.

– Co więc zrobisz?

– Na razie niewiele. Jeśli to się wydarzy, albo kiedy to się wydarzy, to się wydarzy. Ja *na pewno* zadbam o to, żeby mieć pod ręką notatnik, i u licha, jeśli będzie więcej tych spotkań, może

zanotuję również parę innych rzeczy, no wiesz, gdzie jestem, co się dzieje wokół, coś w tym rodzaju.

Uśmiecham się szeroko i patrzę na Kendrę.

Ona odwzajemnia mój uśmiech i pyta: – O czym myślisz?

– Właśnie wyobraziłem sobie, jak moje wnuki otwierają starą skrzynię pełną rupieci po dziadku wraz z tymi starymi i pożółkłymi kartkami dziwnych notatek i rozmów z niewidzialnym przyjacielem. Kiedy zapytają się mamy, co to jest, usłyszą: „No właśnie dlatego musieli zamknąć dziadka w szpitalu! A teraz odłóżcie to i idźcie na podwórko się pobawić”.

Kendra śmieje się, potrząsając głową: – Masz takie dziwne poczucie humoru!

Po paru chwilach spogląda na mnie i mówi trochę poważniejszym tonem: – Marc, kim był dla ciebie Jezus, gdy dorastałeś?

Nagła zmiana tematu konwersacji całkowicie mnie zaskakuje i uwalnia całe mnóstwo wspomnień. Widzę siebie jak w niedziele chodzę z rodzicami do kościoła. Niekończące się kazania i lekcje religii w szkółce niedzielnej. *Tęgo* akurat nie bardzo lubiłem.

– Tato podwoził mnie do kościoła na niedzielną lekcję religii, udawałem, że wchodzę do środka, ale gdy tylko zniknął za rogiem, czmychałem stamtąd! Szedłem do centrum i wydawałem pieniądze na ofiarę na czekoladowego shake'a.

Kendra otwiera szeroko oczy ze zdumienia, ale są w nich isierki humoru: – O ty! To prawie profanacja!

Uśmiecham się do tego wspomnienia.

– No cóż, powieście mnie o świcie. Lecz pamiętam, że Jezus wywoływał we mnie dobre uczucia, kiedy już potrafiłem odzielić go od wszystkich dogmatów. Czułem, że oto jest ktoś, kto coś *wie*. To znaczy ktoś, kto *rzeczywiście* coś wie. Czułem, że jest to ktoś, komu naprawdę można zaufać.

Głos Kendry staje się bardziej delikatny: – Dlaczego nie możesz zaufać mu teraz?

– Kendra! Tamten Jezus przychodził do mnie przez filtr nałożony przez kogoś innego. On żył w historiach, opowiadał przypowieści, które były niczym kleksy w teście Rorschacha. I żył sobie bezpiecznie w historii. Temu Jezusowi łatwo zaufać! Możesz wierzyć dowolnie we wszystko, w co chcesz wierzyć na Jego temat, bo i jak On sam mógłby się przed tym obronić?

Nie ruszając głową, Kendra podnosi wzrok i spogląda wprost na mnie: – A może właśnie składając domowe wizyty.

Słyszając to, staję jak wryty.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że wierzysz, iż ten Jezua to jest tamten Jezus?

– Czyż on sam tego nie powiedział?

– No, tak, ale...

– Co *poczuteś*, gdy to powiedział? – Kendra podpira głowę i patrzy wprost na mnie.

Odwracam głowę, by spojrzeć za okno i odpowiadam cicho: – Poczuję, że jest to tak dobre i prawdziwe, jak smak tamtych czekoladowych shake'ów.

Ale nie potrafię się z tym pogodzić. Zaczynają we mnie narastać emocje, zmagam się, by trwać w swym przekonaniu, że Jezua to nie Jezus. Bez względu na to, co *czuję*, to doświadczenie nie może być prawdziwe. No dobrze – nie może być aż *tak* prawdziwe.

– Słuchaj, Jezus żyje na kartach Biblii, w zapomnianych ezoterycznych tekstach i w nadziejach niektórych ludzkich serc, ale nie wierzę, że pojawia się, wychodząc z jakiegoś światła w czasie medytacji w dwudziestowiecznej Ameryce!

Pochylam lekko głowę. – Poza tym, nawet jeśli tak jest, to nie jest to przesłanie, na którym zbudowano imperia, na którym

miliony osób oparło nadzieje swej duszy. Boże, Kendra, nie mogę się dzielić takim przesłaniem, z takiego źródła jak on! Oni by, oni by...

– Ukrzyżowali cię? – Kendra dokańcza moją myśl, z bardziej niż rozbawionym wyrazem twarzy.

– Tak, właśnie! – wypalam bez namysłu i dopiero wówczas szybko się reflektuję. – To znaczy, prawdopodobnie nie dosłownie, ale nie chcę całego tego kłopotu i zamieszania.

Milkniemy oboje.

– Marc?

– Tak?

– A co jeśli to „oni” się mylą?